

Fatalna inscenizacja wielkiego dzieła

Spektaklem „Albośmy to jacy tacy” opartym na „Weselu” Piotr Cieplak skompromitował Teatr Powszechny

Piotr Cieplak, tworząc dwugodzinne przedstawienie „Albośmy to jacy tacy”, posłużył się Wyspiańskim. Zdążyliśmy już przeczytać opinię, że to najważniejsze przedstawienie w polskim teatrze od kilku sezonów. Nad czym te zachwyty? Nad przedstawieniem, które określić można jednym słowem – wulgarne.

Do sporej ilości bluzgów rzucanych ze sceny zdążyliśmy już przywyknąć. Spektakl nie jest nawet wulgaryzm przez swój ideowy przekaz, bo trudno nie zgodzić się z Cieplakiem, którego mierzi słowo „wykształciuch”, boli obrzucanie oponentów słowami „Żyd” i „pedał”, wkurzają rozwieleni samooobrońcy, martwi ginąca

Rospuda. Taka obrona jednak obraca się przeciwko bronionym wartościom.

Pierwsza część rozegrana na dziedzińcu Powszechnego wywołuje déjà vu – i to sprzed kilku teatralnych epok. Ta wrzaskliwość, gra-

nie metodą „nic nie graj – rzuć się po prostu”, ten pretensjonalny literacki collage... Ten tekst Michnika nawołujący poniewczasie do otwarcia teczki, spuentowany „Przesłaniem Pana Cogito” Herberta, ten spis

potraw ludzi zamożnych z „Fizjologii smaku” Savarina, ten „Ochroniarz” Świeckiego sąsiadujący z Miłoszem, kilka wycinków z Wyspiańskiego, to niby „Weselu” pohukiwanie: „Kacper, kurwa, słuchaj bratku”, Kazimierz Kaczor klejący sobie dwa razy żydowską brodę, wkraczający potem w rektorskiej todzie i birecie jako Lepper, Elżbieta Kępińska podrygująca z aktorską młodzieżą w rytm upiornej lupaniny grającego na żywo zespołu – to wszystko jest to jakieś bardzo zapóźnione i strywalizowane odwołanie do studenckich teatrów drugiej jakości sprzed czterech dekad. Kończy się ta część szczytem pretensjonalności – długim „Psalmem” będącym listą zagro-

żonych gatunków z Doliny Rospudy, po których już wkrótce przejedzie buldożer. To nie jest teatr – to jest zaledwie sceniczne działanie na umysłowym poziomie tabloidu.

Pierwsza część spektaklu miała być w założeniu mocna i aktualna. Po co więc część druga zagrana w poamalowanej na żalobny kolor sali Powszechnego? Na scenie – bronowicka chata, a w niej aktorzy, których widzieliśmy 20 minut wcześniej. Ubrani w kostiumy z „Wesela”, poprzednio nadekspresyjni siedzą teraz i niemal beznamietnie recytują tekst ostatnich scen dramatu – jakby odbywała się dopiero druga czytana próba. Szkoła Mariusza Benoît, który wyraźnie chciał w tym „We-

selu” powiedzieć coś więcej, ale reżyser skutecznie mu to uniemożliwił. Kończy się to swoistym postscriptum – opowieścią o losach pierwowzorów Wyspiańskiego. Ta zginęła podczas wojny, inny zapisał się do PZPR i budował Nową Hutę. Ma to prawdopodobnie symbolizować absolutną niemoc i rozpad dawnego świata, jednak w zderzeniu z tym, co działo się kilka kwadransów wcześniej za ścianą, ta recytacja daje efekt zgoła odmienny: „Państwo sami widzą, że tego Wyspiańskiego to się już dziś nie da, bo i przestarzały, i bohaterowie skompromitowali swoją przeszłość”. A skoro się nie da – no to po co było to wystawiać?

Po wyjściu z przedstawienia popatrzyłem na fa-

sadę Powszechnego. Degradacja tej pięknej przecież architektury zbiegła się z degradacją artystyczną tego, co ta architektura kryje w środku. Po tym przedstawieniu, po innych zbyt już licznych manifestacjach tej „nowej wrażliwości”, która przy niezbyt nawet uważnym przyjrzeniu odsłania się jako zwyczajne prostactwo i robienie widzów w konia – można tylko powiedzieć samym Wyspiańskim: „W pysk wam mówię litość moję”.

Tomasz Mościcki



Scena z przedstawienia „Albośmy to jacy tacy”

ARTUR CHMIELEWSKI